

Czy nad Wzdowem zaświeci słońce?

Jest taka szkoła, inna niż wszystkie. W tej szkole czas nauki, tworzenia, prania i sprzątaniam, zadumy i rozmowy nie jest wyznaczany przez dzwonek, ten czas jest niepodzielny. Podobnie przestrzeń, ta do nauki, mieszkania, tworzenia i myślenia też jest jedna, bez granic. Czas jest długi, bo nie okaleczony przez telewizję, knajpy i inne elementy cywilizacyjnego zgiełku, a przestrzeń ogromna: w pałacowych salach o wysokości 7 metrów, w 18-hektarowym parku, w całym, okolicznym Beskidzie Niskim i aż po Bieszczady. Czego można się nauczyć w tej szkole? Bardzo wielu rzeczy. Można nauczyć się własnoręcznie wyrabiać wszystko to, co potrzebne do życia: naczynia, kosze, sztuce, tkaniny, meble, ozdoby. Można poznać i uszanować myśl twórczą naszych dziadów i pradziadów, ich pomysłowość, skromność i pracowitość. Można doświadczyć tolerancji, spróbować samotności i wspólnotowości. Można też wystawić na próbę własne poczucie wolności i odpowiedzialności. Wszystko to proponuje jedyna ocalała po okresie wielkich przemian w Polsce uniwersytet ludowy. Niegdyś ośrodek ideowy o fatalnej reputacji, na który władze komunistyczne zawsze znajdowały pieniądze.

Leonardo ze Wzdowa

Obecnie jedyna w kraju szkoła rzemiosła ludowego i artystycznego, która walczy o przetrwanie. Szkoła mieści się w zabytkowym pałacu, należącym niegdyś do zacnej i zasłużonej dla kraju rodziny Ostaszewskich, słynącej ze wpierania ruchów powstańczych w XIX wieku. Przedostatni dziedzic Wzdowa Adam Ostaszewski był niezwykle ciekawą postacią. Wsławił się jako twórca systemu kosmologicznego opartego na mitologiach indoeuropejskich. W parku pałacowym wybudował obserwatorium astronomiczne, a nawet samodzielnie skonstruował prototyp samolotu. Nazywany był nie bez powodu Leonardem z Wzdowa. Jego posąg stoi w parku na osi pałacu i tchnie twórczą energią i duchem wolnej wyobraźni. Wydaje się, że funkcja, jaką obecnie pełni obiekt jest naturalną konsekwencją procesu, w jakim uczestniczy od dziesiątek lat pałacowe miejsce. Jednak szkoła w pałacu to wielkie wyzwanie. W czasach, kiedy wszystko, aby mogło istnieć, musi przynosić zysk, trudno o wsparcie dla kulturotwórczych funkcji obiektów historycznych. Uniwersytet ludowy we Wzdowie tego wsparcia też nie ma. Jest szkołą niepubliczną. Utrzymuje się z czesnego słuchaczy oraz z dotacji, które pokrywają 30% kosztów bieżących. Dzięki tym środkom można zapłacić nauczycielom skromne pensje i ogrzać obiekt zimą. O najskromniejszych remontach nawet nie ma co marzyć. Aż strach patrzeć na starzejący się dach, czy wymagające odświeżenia ściany.

Jedyna taka szkoła

Szkoła jest jedyną w swoim rodzaju w skali kraju.


W Szwecji, czy Niemczech są dziesiątki takich szkół. Zresztą dyrektor Andrzej Kijowski utrzymuje z wieloma z nich stały kontakt i próbuje uruchomić współpracę. Z zazdrością opowiada o tym, jak to w tych krajach kultywuje się obecnie ludową tradycję i związane z nią stare rzemiosła. A przede wszystkim gwarantuje się tego typu ośrodkom podstawy egzystencji. U nas, w ramach reformy edukacji


wprowadza się do szkół program regionalizmu, przy jednoczesnym całkowitym braku wykwalifikowanej do tego kadry nauczycielskiej. Szansa dla uniwersytetu ludowego? A jakże! Mogą się tu odbywać szkolenia dla nauczycieli tylko, że szkoła nie ma prawa wydać kursantom żadnego dokumentu uprawniającego później do nauczania sztuki regionalnej. Problem leży też w tym, że takiego zawodu jak instruktor rękodzieła nie ma w ramach resortu oświaty. Ten zawód jest w resorcie kultury i sztuki. Ale wiadomo, że Ministerstwo Kultury i Sztuki nie będzie finansowało oświaty, a oświata kultury i sztuki. Brakuje symbolicznych zapisów w kilku ustawach, które dałyby podstawy do finansowania i rozszerzenia działalności szkoły. I nie ma szans na wprowadzenie takich

zmian, póki taka szkoła jest jedna i nie ma za sobą żadnej grupy nacisku. Kolejny punkt reformy, jakże słusznej w swych teoretycznych założeniach, pozostanie niemożliwy do zrealizowania, jeżeli nie będzie nauczycieli przygotowanych do nauki sztuki ludowej i rękodzieła. Miejmy nadzieję, że Małopolski Uniwersytet Ludowy we Wzdowie, mimo niesprzyjających okoliczności, będzie istniał i przyjmował w swe progi wszystkich ciekawych naszej ludowej tradycji. O szkole i panujących w niej zwyczajach pozwólmy wypowiedzieć się nauczycielom i uczniom.

Dyrektor Andrzej Kijowski

... jako malarz nieprzetartych szlaków:

Zajmuję się malarstwem sztalugowym, sporadycznie rzeźbą i fotografią. Przeważającym tematem w mojej  twórczości jest pejzaż nie skażony śladami ludzkiej działalności. Maluję pejzaż niedostępny z utartych szlaków wędrówek człowieka. Są to zakątki na obrzeżach lasu, zakamarki lasów, brzegi strumieni, rzek, stawów czy wreszcie oczek wodnych, które czasami swe życie zawdzięczają chwilowej obfitości deszczu, wysychając w promieniach słońca i rodząc się na nowo przy kolejnych opadach. Miejsca te znaczone są niekiedy tylko śladami racic saren przychodzących do wodopoju. W pejzażach tych pojawiają się chwile trwające czasami kilka sekund, znikające jak błysk słońca na wodzie, zmieniające się jak obłoki na niebie, ulotne jak mgła poranna czy wieczorna. Staram się uchwycić te zmieniające się stany przyrody i zapisać je w formie malarskiej. Posługuję się najczęściej barwą ciepłą w całym obrazie lub ciepłym światłem ślizgającym się po liściach, gałęziach czy kamieniach. Nie jest to jednak wcale regułą, czasami pejzaże są chłodne, przejmujące swoistym niepokojem o to co zdarzy się za chwilę. Swoje obrazy maluję najczęściej na podstawie tego, co zapamiętałem z wędrówek po lesie, strumieniach i bezdrożach. Notuję w swojej pamięci zaobserwowane zjawiska i odtwarzam je lub interpretuję w pracowni. Światło pojawiające się w moich pejzażach czasami nie ma określonego źródła, po prostu jest, istnieje w naturze i nie należy pytać o jego pochodzenie. W większości obrazów najważniejszym bohaterem jest nastrój budowany światłem, kolorem, rodzajem wybranych fragmentów natury. Bliski jest mi nastrój spokoju, może nawet melancholii i zadumy nad przemijaniem losów ludzkich i trwałością natury.

... jako dyrektor Małopolskiego Uniwersytetu Ludowego: Uważam, że warto zachować trochę naszej  tradycji. Choćby po to, żeby nie stracić tego, czego nie powinniśmy się wstydzić przed światem. Coraz mniej jest już ludzi, którzy zajmują się swoim fachem, rzemiosłem z pokolenia na pokolenie. Te babcie i ci dziadkowie po prostu wymierają. Nagle może się okazać, że w naszym otoczeniu zaistnieje wielka pustka, którą zapełni plastik i produkcja masowa. Zresztą już wypełnia, a przecież lepiej mieć wokół siebie coś własnego, charakterystycznego, prawdziwego...

Do naszej szkoły trafiają dość szczególnie słuchacze. Ja bym ich podzielił na dwie grupy. Proszę potraktować z poczuciem humoru to, co teraz powiem, bo nie mam w sobie żadnych wrogich uczuć, ale to są „normalni” i „wegetarianie”. Do tej pory nie doszło jeszcze do konfrontacji, ale myślę, że nadszedł czas, żeby się zbuntować, bo jak przez cały tydzień do jedzenia jest tu tylko kasza... W tym roku pojawiła się trzecia grupa: weganie, chyba po to bym polubił wegetarian... Ale mówiąc poważnie są to absolwenci najprzeróżniejszych szkół. Od ogólniaka do technikum kolejowego. Po wyglądzie widać, że są zbuntowani wobec tzw. Normalnej oświaty i związanym z nią rygorom. Tutaj mają komfort swobody, ale czasem okazuje się, że ta swoboda działa przeciwko nim. Wówczas zaczynają się brać za siebie i po prostu pracować. Nikt tutaj nie zwraca uwagi na to, czy ktoś ma dredy, czy ich nie ma.

Trudno jest się wyróżnić wyglądem, bo nic nikogo nie dziwi. Nikt nikogo nie kontroluje, tylko na koniec semestru każdy musi rozliczyć się z wykonanej pracy. A żeby mieć zaliczenia, to czegoś się trzeba nauczyć. Żeby się nauczyć, trzeba chodzić na zajęcia, chociaż nie ma tu dzwonek. Jest to swego rodzaju szkoła życia. Szkoła przystosowania i życia społecznego.

W szkole dziwny wygląd nie robi na nikim wrażenia, ale inaczej jest poza szkołą. Mieszkańcy wsi byli

bardzo nieufni, kiedy kilka lat temu pojawili się pierwsi dredziarze. Jednak dziś już się przyzwyczaili i posyłają nawet swoje dzieci na zajęcia, które dla nich organizujemy. Niemniej jednak świat szkoły pozostaje dla nich światem obcym. Dlaczego? Paradoks tej sytuacji polega na tym, że szkoła ma w swoim założeniu „ludowość”. A tymczasem folkloru jako takiego już nie ma. To, co jest obecnie przeszło w tzw. folklorizm.

Wróćmy jednak w tej opowieści do naszych uczniów. Wielu z nich traktuje pobyt tutaj na zasadzie oderwania się od środowiska, w którym przebywali wcześniej. Niektórzy mówią, że gdyby nie przyjechali tutaj, to wylądowaliby wśród narkomanów. Przyjeżdżają, żeby znaleźć pomysł na życie. Większość z nich jest zorientowana jakoś tam na ekologię i bliska im jest przyroda. Wobec tego to miejsce jest dla nich idealne. Mają park, a dalej wspaniałą, nieskażoną przyrodę Beskidu Niskiego i Bieszczadów. Nasza szkoła i miejsce, w którym się znajduje – to enklawa. Tu każdy, kto interesuje się sztuką, a wobec tego jest jakąś indywidualnością, ma się gdzie schować, może znaleźć dla siebie niszę. Na zajęciach w szkole jest w grupie, w społeczności, potem ma warunki do tego, by pobyć w samotności. Wydaje mi się, że taka placówka nie mogłaby funkcjonować w większym mieście. Musi mieć przestrzeń wokół siebie, ciszę i harmonię.

...co uniwersytet ma do zaoferowania

Chciałbym wymienić wszystko to, co jesteśmy w stanie zaoferować naszym ewentualnym słuchaczom. Po pierwsze: **tolerancję**. Tolerancję dla wszelkich możliwych postaw, przy zachowaniu podstawowych norm przyzwoitego zachowania. To wystarczy by być tutaj akceptowanym. Po drugie: **czyste powietrze i dorodny drzewostan** w postaci 18-hektarowego parku. Ponadto możemy zaoferować **pomysł na życie**. W czasach, kiedy w zasadzie każdy magister może być bezrobotny, możemy zaproponować koncepcję życia dość komfortowego, bo po skończeniu naszego uniwersytetu można zarabiać mając z tego, co się robi przyjemność. Przy odrobinie samozaparcia naprawdę można żyć z rękodzieła. Są tacy słuchacze, którzy z tego żyją. Oprócz tego wystawiamy dokument, który upoważnia do podjęcia pracy w placówkach kulturalno-oświatowych. Dajemy **dyplom instruktora rękodzieła artystycznego**.

Nauka u nas jest, myślę, również dobrą ofertą dla studentów, czy absolwentów wydziałów etnologii i etnografii. Wiedza teoretyczna zdobyta na studiach to jeszcze nie wszystko. Nabywszy umiejętności praktyczne w wiklinie, rzeźbie, hafcie i koronce można szybciej znaleźć pracę np. na stanowisku konserwatora obiektów ludowych w skansenie. Poza tym myślę, że panuje tutaj dość dobry klimat. Stanowimy jedną, wielką rodzinę, w której, wiadomo, zdarzają się różne sytuacje, ale da się spędzić miło te dwa lata i jeszcze się czegoś nauczyć przy okazji. No i ma się satysfakcję, że potrafi się robić rzeczy, które już mało kto potrafi.

Słowami ucznia:

Roland Kuliński tak mówi o sobie we Wzdowie: *Wybór szkoły w dużej mierze podyktowany był moim odmiennym od „normalnego” postrzeganiem świata. Kilka lat temu, kiedy zauważyłem swój związek ze światem przyrody w radykalny sposób zmienił się mój osobisty system wartości. Można by powiedzieć, że odnalazłem swoje miejsce w świecie. Było to na tyle mocne doświadczenie, że zacząłem kierować swoje życie w taki sposób, aby zachować harmonię z przyrodą. W każdym aspekcie mojego życia musiałem dokonywać wyboru i tak też stało się z edukacją. Skończyłem szkołę średnią jako wykwalifikowany urzędnik i jedyną rzeczą, jakiej byłem pewien to przekonanie, że kontynuacja nauki w tym kierunku byłaby nieporozumieniem. Przez kilka lat wzbierało we mnie uczucie, że konieczne jest szukanie jakiejś alternatywy dla siebie. Brakowało pieniędzy i stanąłem przed koniecznością podjęcia pracy. Osoba, która posiada system wartości odmienny od 99% społeczeństwa ma szczególny problem z pogodzeniem własnych wartości w konfrontacji z rzeczywistością. Rozpoczęły się kolejne poszukiwania, chciałem coś robić, realizować się, mieć z tego przyjemność i oto pewnego dnia usłyszałem od mojej bliskiej znajomej, że gdzieś niedaleko istnieje takie miejsce, jak Wzdów. Taka malutka wioska pomiędzy Krosnem, a Sanokiem, której wyjątkowość*

polega na tym, że jest tam szkoła rękodzieła artystycznego. Zainteresowało mnie to na tyle, że postanowiłem sprawdzić czym ta szkoła jest. Przyjechałem i to, co zobaczyłem sprawiło, że zostałem. Przed szkołą stoją ogromne konstrukcje z wikliny, których autorzy siedzą teraz w pracowniach rzeźbiarskich, ceramicznych, tkackich, malarskich. To było niesamowite odkrycie pewnej społeczności, która na obrzeżach cywilizacji tworzy swój własny świat. Okazało się, że większość tych osób ma podobne poglądy, taki światopogląd, w którym mamona nie zajmuje wcale najwyższej pozycji - pana świata, a szacunek dla życia jest normą. To było bardzo pozytywne doznanie. Teraz zaczynam drugi rok nauki i jestem naprawdę zadowolony ze swojego wyboru. Oczywiście nie ma tu idylli. Zdarzają się trudne sytuacje w relacjach pomiędzy nami. Jednak potrafimy je neutralizować i uczyć się rozwiązywać wszelkie konflikty. Mała społeczność sprzyja rozładowaniu napięć. Panuje tu bardzo osobliwa atmosfera. Słowo rodzina może byłoby pewnym nadużyciem, ale naprawdę często tak właśnie się czujemy, jak w rodzinie. Jest mi tu bardzo dobrze. Mogę uczyć się rzeczy, z których w przyszłości będę mógł się utrzymać nie idąc na żaden kompromis, w którym elementem przetargowym miałyby być moje ideały. I to dla mnie w tej szkole jest chyba najważniejsze.

Nauczycielka Maria:

Uczę projektowania form użytkowych. Osiem albo dziewięć lat temu przyjechałam w Bieszczady i zapragnęłam zostać na tych terenach. Nie dostałam się na studia i szukałam dla siebie jakiejś szkoły. Znalazłam tę i tu zostałam. Trafiłam na koniec poprzedniego okresu działania szkoły. Obecny dyrektor, pan Andrzej Kijowski uczył tutaj malarstwa. Trzy lata później został dyrektorem. Od tego czasu szkoła się całkowicie zmieniła, oczywiście na korzyść.

Uczę projektowania. Zadaję jakiś temat, wprowadzam, po czym wychodzę. Po jakimś czasie wracam. Widzę, że nikogo nie ma w sali, ale słyszę muzykę dochodzącą z sali teatralnej. Wchodzę i widzę dziewczynę z mojej grupy: w ogromnej, pustej sali, na środku, przy stoliku siedzi sobie i ...

projektuje. Inny uczeń siedzi w parku. Tak wygląda atmosfera w tej szkole. Myślę, że jest wyjątkowa. Tych, którzy tu przyjeżdżają nazwałam: „niepokorni”. Są zbuntowani, czegoś szukają, mają nie przeciętną wrażliwość. Nie lubię określenia - artyści, ale oni trochę nimi są, w dobrym tego słowa znaczeniu. Obserwuję czasami zabawne rzeczy. Przyjeżdżają ci niepokorni, zbuntowani, zazwyczaj dziwnie wyglądający młodzi ludzie. Poprzez swój wyróżniający się wygląd pragną zamaniifestować swoją odmienność. Po czym spotykają tutaj samych takich, jak oni. Nikt z nich już się tu nie wyróżnia i nie zwraca niczyjej szczególnej uwagi. Dla niektórych to szok. Muszą zacząć siebie traktować zwyczajnie, jak jednego z wielu. To niezła szkoła życia. Po dwóch latach pobytu tutaj nadal widzą w sobie wyjątkowość, ale zaczynają ją również dostrzegać w każdym innym człowieku, nawet tym spoza szkoły, w zwykłym mieszkańcu okolicznej wsi, czy miasteczka.

Wieś traktuje szkołę jak inny świat, jak oddzielną wieś we wsi. Stosunki z mieszkańcami układają się jednak dobrze. Kupujemy u gospodarzy sery, mleko, jajka. Moje dziecko chodzi do tutejszej szkoły. Ale kiedy zapraszamy na wystawę naszych prac, to przychodzą tylko pojedyncze osoby. Dochodzą do nas opinie o naszych uczniach, że dziwnie wyglądają, że mogliby się uczesać. Staramy się przełamywać ten dystans. Myślę, że coraz bardziej obie strony starają się siebie szanować i akceptować.

Czy nad Wzdowem zaświeci słońce?

Czy nasz świat potrafi zaakceptować i uszanować takie wewnętrzne światy jak Uniwersytet Ludowy we Wzdowie? Bądźmy dobrej myśli. Musimy ochraniać i wspierać tych, którzy podejmują się prawdziwych wyzwań życia niekoniecznie według wskazówek reklam telewizyjnych. Uniwersytet stoi otworem dla wszystkich, którzy chcą się tam uczyć rękodzieła, a my wszyscy, którym bliski jest bioregionalizm i dzika przyroda powinniśmy życzyć mu powodzenia i coraz większej popularności.

Marta Lelek